ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Listopada | Nr 46. | Roku 1843.

KOKIETA.

(Dokończenie.)

3.

Tegoż samego dnia cała familija na wieś wyjechała. Tam zupełnie żyła samotnie. Teobald ani razu nie zwidził Paryża. Kto go tylko widział, był pewnym, iż całém sercem ubóstwia anioła, który w nim wszystkie życzenia, wszelką szczęśliwość swoję upatrywał. Najczulsze miał o niéj staranie i zdawał się jedynie jéj przyszłością być zajętym, lecz niestety, byłato tylko nieugięta wola, by się stało zadość świętéj powinności jego. Zapowiedziane dziesięć dni prędko przeminęły, a poranek 25 listopada zeszedł jasno i czysto jak dzień wiosenny. Z radością ujrzał go baron, witając w nim koniec dręczących go niepokojów a początek stałego, szalonémi namiętnościami nieprzerywanego szczęścia. Tak blizko kresu, bezzasadnémi wszystkie zdawały mu się obawy. Z radośném sercem uściskał Gabryjelę, gdy taż w poranku dnia uroczystego prosząc, by ją pobłogosławił, przy łożu jego uklękła.

Poranek ten wszyscy w pokojach markizy spędzili, sam tylko Teobald w swoim przebywał gabinecie, szanując wzruszenie, którego pomimo największą miłość, młoda narzeczona w chwili, jéj przeznaczenie na zawsze stanowiącéj, doznać musi. Markiza była nadzwyczaj uprzejmą i wesołą; zatrudniona Gabryjeli toaletą krzątała się nieustannie, różne wydając rozkazy, i czasem z niejakiém zadowoleniem uśmiechnęła się do barona: iż przyszło do końca, czego sobie tak bardzo życzyła.

Zaręczyny miały się o godzinie szóstéj w prefekturze odbyć, a zaraz potém w kościele w Meudon był ślub przeznaczony. Do téj uroczystości byli tylko niezbędni świadkowie zaproszeni. Baron zostawiwszy markizę samę z Gabryjelą, poszedł do pokoju Teobalda. Zastał go pomiészanego; poznać było po nim widocznie, iż do czekającéj go ofiary, sam sobie odwagi dodawał. Nie uszło to bystremu oku barona, iż mu coś cięży na sercu, z czémby się jemu, przyjacielowi swojemu, którego jak drugiego czcił ojca, chciał zwierzyć; lecz do czegożbyto miało prowadzić? Za kilka godzin czekał go ślub z Gabryjelą, a zatém lepiéj było nie wywoływać nazwiska, któregoby odgłos zbyt boleśnie i tak już cierpiące zranił serce.

Teobald ubrawszy się wszedł do biblijoteki, gdzie go baron już oczekiwał. Nigdy tak pięknym nie był ten młodzieniec; jednakże jego czarna suknia i jego blada, pełna wyrazu twarz, wzniecały wątpliwość: czy on na wesele lub na pogrzéb idzie. Teobald zbliżył się do szafy, wyciągnął książkę, lecz zaraz ją od siebie rzucił, i usiadłszy przy kominku, przymuszał się do uśmiéchu, lecz cały drżał widocznie.

Baron spojrzał się na książkę, byłato *Podróż po Hiszpanii,* ta sama, którą pani de las Bermejas markizie darowała była.

Gdy obadwa około szóstéj godziny do sali weszli, Teobald zdawał się być uspokojonym; przystąpiwszy do siedzącéj obok ciotki Gabryjeli, pocałował ją w rękę. Gabryjela była cała w bieli ubraną, wieniec z białych róż zdobił jéj dziewicze skronie. Była piękną i skromną jak dobry anioł, na którego widok wszystkie złe myśli i szalone znikają namiętności. I Teobald temu uległ wpływowi; wzrok jego rozjaśnił się, i w téj chwili może zapomniał Hiszpankę.

Salon był przepysznie oświetlonym; mnogich lamp i świéc blaski, odbijały się stokrotnie w dużych źwierciadłach; sploty z naturalnych kwiatów ozdabiały ściany, małe zgromadzenie prawie nikło w jaśniejącym gmachu, a baron zawnioskował, aby do małego przejść salonu.

»O nie, nie«, zwycięzkim uśmiéchem rzekła markiza, »ja się więcéj gości spodziéwam; albož sądziliście może, iż ślub méj najukochańszéj Gabryjeli przy kominku odbędę?« — Ledwie te wyrzekła była słowa, aż oto szérokie rozwarły się podwoje, a mnóstwo krewnych i znajomych, między którymi i pani de las Bermejas była, weszło do salonu.

»To jest niespodzianka, którąm dla ciebie moja luba przygotowała«, rzekła markiza do Gabryjeli przyjmującéj z zapłonieniem powinszowania przybyłych gości.

Hiszpanka usiadła spokojnie obok narzeczonéj. I ona także całkiem biało ubraną była; w kruczych swych włosach miała także białe kwiaty, jaž równie za narzeczoną miećby można było. Teobald zakrył sobie twarz chustką, że ledwie blade czoło jego od białego batystu rozróżnić można było.

Gdy już z ćwierć godziny na powinszowaniach i zwykłych grzecznościach przepędzono, dano znać, iż powozy zajechały. Wszyscy powstali. W téjże saméj chwili pani de las Bermejas zbliżyła się do Teobalda. Widocznem było, jak gwałtownie był wzruszony i pokryć starał się głęboką boleść. Wzrok jego był obłąkany, kolana się pod nim zginały, oparł się o drzwi. Baron uważając wszystko, usłyszał jak mu Hiszpanka do ucha szepnęła:

»Gdzież twoja odwaga Teobaldzie?«

»Ach ja nieszczęsny, szalony jestem«, odrzekł cicho przytłumionym głosem, »gdyż ja tylko ciebie kocham, ciebie anielska istoto!« — Témi słowy kokieteryja téj kobiéty zaspokojoną została, jéj próżność najwyższy tryjumf odniosła. Zwycięzki uśmiéch okrasił jéj lice, oddaliła się od zgubionego z tak misternie udanym wyrazem zadziwienia i litości, iżby najpierwszą aktorkę przewyższyć zdołała.

W téjże saméj chwili wyszła Gabryjela z pokoju swéj ciotki, gdzie jéj błogosławieństwo odebrała. Napomniony od barona zamyślony Teobald, podał machinalnie rękę markizie. Baron prowadził Gabryjelę, która wzruszona i blada, blizka omdlenia była.

Wszyscy goście opuścili salon. Gabryjela wcisnęła się w głąb powozu, a siedzący przy niéj, nie śmieli w tak uroczystéj chwili przerywać jéj milczenia. Gdy przed prefekturą wysiadła, drżała widocznie i ledwie na wschody wejść mogła. W salonie postawiono ją obok Teobalda; oboje stali jak dwa posągi przed Mairem, który zaślubiny rozpoczął rotą ustawy:

»Chcecież w imieniu prawa wejść w śluby małżeńskie?«

Świetne grono przyjaciół otaczało młodą parę; w około panowała głęboka cisza, tylko markiza ściskając rękę barona, płaczu utulić nie mogła.

Hiszpanka nie spuszczała oka z Teobalda.

Maire pytał daléj: »Panie Teobaldzie de Montmaur, czy przyjmujesz pannę Gabryjelę de Pons za żonę?«

»Przyjmuję«, wyrzekł stanowczym głosem.

»Panno Gabryjelo de Pons, czy przyjmujesz pana Teobalda de Montmaur za męża?«

»Nie!« wyrzekła konającym głosem i bez zmysłów padła na ziemię.

Rozlégł się krzyk powszechnego przestrachu. Z wyrazem najżywszéj rozpaczy rzuciła się markiza na Gabryjelę, wołając:

»Ona zmysły straciła, mój Boże zlituj się nad nieszczęśliwą!«

Teobald stał osłupiały, twarz jego okropnie się zmieniła. Ujął omdlałą za rękę, przycisnął ją do zbolałego serca, i rzekł do markizy: »Uspokój się pani, jestto tylko skutek mocnego wzruszenia, mam w Bogu nadzieję, iż to wkrótce przeminie.«

Trzéźwiono Gabryjelę różnémi sposoby, aż nareszcie twarz jéj wodą zimną skropiwszy, otworzyła oczy. Pierwsze jéj wejrzenie padło na klęczącego przed nią Teobalda; chciała coś mówić, lecz głos skonał na jéj zsiniałych ustach, a po krótkiéj chwili znowu w okropne wpadła konwulsyje.

Wszyscy téj sceny świadkowie w niesłychaném byli przerażeniu. Pani de las Bermejas stała z daleka. Wniesiono Gabryjelę do powozu, markiza nieodstępną jéj była.

Baron jakby piorunem rażonego wspiérał Teobalda. »Teobaldzie«, zawołał ze łzami w oczach, które nadaremnie ukryć się starał, »Teobaldzie, zaklinam cię na wszystkie najświętsze obowiązki, wyznaj mi szczérze, coś temu biednemu powiedział dziécięciu?«

»Nic, na mój poprzysięgam ci honor«, odrzekł tenże ze łzami.

»Taką rzeczą to sprawka Hiszpanki«, rzekł baron. Teobald starał się temu zaprzeczyć— »Więc to biédne dziécię straciło zmysły, i wszystko już się skończyło!«

»Nic«, rzekł Teobald, »każden inny miałby to za urazę, w czém ja tylko bolesny wypadek widzę, a zatém nic nie jest skończoném.«

Wróciwszy do domu, zastali już w łóżku Gabryjelę, najczulsze od rozpaczającéj markizy odbiérającą starania. W salonie było jeszcze kilku zasmuconych przyjaciół. Pani de las Bermejas przyrzekłszy przysłać jak najprędzéj lékarza, wyjechała do Paryża.

Konwulsyje wprawdzie ustały, lecz niemą, osłabioną i prawie bez czucia była dotąd Gabryjela. Markiza z baronem całą noc przy niéj czuwali. Co chwilę przychodził Teobald, dowiadując się najczuléj o jéj zdrowie.—Nad rankiem wszyscy się cokolwiek uspokoili. Gabryjela spała nieustannie, twarz jéj była wprawdzie śmiertelną okryta bladością, wszelako żadnego wewnętrznego nie okazywała cierpienia. Z niecierpliwością oczekiwano jéj przebudzenia.—Teobald z powodu swego dziedzictwa musiał nieodzownie wyjechać do Paryża. Baron przyrzekł mu codziennie dwa razy posyłać wiadomość.

Około południa nadjechał lékarz markizy z Paryża. Przeszło godzinę siedząc przy łóżku choréj, śledził pilnie jéj najmniejszego poruszenia, lecz widząc, iż sen trwa nieprzerwanie, wyprowadził barona z pokoju, polécając mu, by jak najprędzéj markizę wywieźć do Paryża.

»Jak to?« zawołał ze łzami baron, »nasza biédna Gabryjela—?«

»W największém jest niebezpieczeństwie.— Wszystko mnie na to naprowadza, iż to jest mózgowych nerwów zapalenie. Co tylko sztuka może, pewnie czynić nie zaniedbam, ale przyznaję się panu, iż prawie żadnéj nadziei nié mam. Ja tu zostanę, lecz pani Markiza ztąd wyjechać musi — onaby tego ciosu nie przeżyła.«

To rzekłszy, odszedł lékarz do pokoju Gabryjeli. Samaż markiza tak była osłabioną, iż w łóżku pozostać musiała. Nad wieczorem przysłała pani de las Bermejas dowiedzieć się o zdrowiu Gabryjeli.

Cztéry dni w nieustannéj trwodze upłynęło. Gabryjela była ciągle bez przytomności, nie przebudziła się ani razu z tego snu okropnego, który już teraz ze wszystkiém śmierci się równał. Oczy jéj były zawsze zawarte, ciało bez ruchu i czucia. Ani na chwilę nie opuszczał jéj baron, rad był choć jednego dosłyszéć słówka, choć jednego doczekać się poruszenia. Czasami zdawało mu się, jakby jéj usta się ruszyły, wtedy nachylał się skwapliwie—najczulszémi wołał wyrazy—lecz nadaremnie!

Ostatniéj nocy zapytał lékarza: »Czy żadnego już nié ma ratunku?«

»Żadnego«, odpowiedział smutno lékarz, »to piękne, młode stworzenie, już jest stracone!«

»Nie odpowiada nam wprawdzie«, rzekł baron, »lecz może nas słyszy?«

»Byćto może«, szepnął lékarz. Baron pochwycił za świécę i przystąpił do łóżka choréj. Leżała bez najmniejszego poruszenia, jéj białe ręce na krzyż złożone, spoczywały na piersi; gęstémi włosami ocieniona głowa, była mocno w poduszkę wciśnięta, oczy na wpół miała rozwarte, twarz i usta zupełnie zsiniałe.

»Gabryjelo!« zawołał baron, »Teobald jest tu, chceszże się z nim widzieć?«

Na wspomnienie tego imienia, nie otworzyła wprawdzie oczu, lecz lekki rumieniec na jéj twarz wystąpił.

»Gabryjelo, drogie dziécię moje!« wołał baron, »czy mnie nie słyszysz?«

Na te słowa podniosła się całą mocą, chwyciła się obiema rękami za głowę, i z krzykiem serce rozdziérającym, wycisnęła z ust te słowa: »Ach ja nieszczęsny, szalony jestem! Gdyż ciebie tylko, ciebie kocham anielska istoto!«

Teraz dopiéro przypomniał sobie baron, iż w chwili, gdy Teobald do Hiszpanki te mówił słowa, nieszczęśliwa dziéwczyna tuż za nimi we drzwiach stała! Tém przypomnieniem wstrząsł się baron. Gabryjela wijąc rękami we włosach, raz jeszcze te słowa wyrzekła, a potém w znak padłszy—oczy zamknęła—i już jéj nie było!

Markiza ledwie dni kilka swą ukochaną siostrzankę przeżyła; biédny baron sam się został z swym żalem. Ostatnie słowa Gabryjeli zamknął na wieki w swém sercu, nawet ich Teobaldowi nie powtórzył, gdyż kochając go z ojcowską czułością, chciał mu wyrzutów sumienia oszczędzić.—

Wkrótce opuścił Francyją, w któréj tak bolesne dręczyły go wspomnienia i do Włoch wyjechał.

Teobald utrzymywał z nim ciągłą korespondencyję.——

Gdy baron znowu powrócił do Paryża, usłyszał tam imię de las Bermejas, i dowiedział

się, iż od kilku miesięcy żoną hrabiego Anatola została. Na drugi dzień odwidził Teobalda. Ledwie go poznał, tak się był podstarzał. Szczérze obadwa mówili ze sobą.

»Ach, zbyt słabego charakteru baronie widzisz we mnie człowieka! Ze wstydem ci wyznaję: że dotąd jeszcze kocham tę kobiétę!«

»Byćże to może?« odparł z zadziwieniem baron. »Po wszystkich naszych nieszczęściach, których była sprawczynią?«

Łzy stanęły w oczach Teobalda. »O, gdybyś wszystko wiedział jedyny mój przyjacielu! Jakichże mi nie robiła nadziei! Ubóstwiałem ją, byłem jéj zupełnym niewolnikiem. Pewnego dnia oznajmia mi z największą oziębłością: że idzie za Anatola. Z własnéj godności ubliżeniem, ze łzami w oczach u nóg jéj leżąc, błagałem o jéj rękę, o jéj miłość — bez. któréj, jak sama niegdy mówiła, niczém jest życie! Własne jéj słowa w pamięć jéj wiodłem: iż tylko prawdziwa miłość, powinna kojarzyć małżeństwa. »Albo ambicyja«, wprost mi odrzekła i to były jéj ostatnie słowa — od téj już chwili nie widziałem jéj więcéj!«

»Jestto słabość, które czas uléczy«, rzekł baron.

»O nie!« odpowiedział Teobald. »Alboż myślisz, iż nic nie czyniłem, by tę niegodną z serca swego wytępić namiętność! Mój rozum i moja wola za słabe do tego; ja od téj zimnéj duszy, od téj piekielnéj piękności oderwać się nie mogę! Chciałbym tylko przez jednę posiadać ją godzinę, tylko jednę godzinę być jéj panem, tylko godzinę widzieć ją drżącą przed sobą — a za tę jednę godzinę dałbym chętnie całe moje życie!«

»Teobaldzie! tobie nié ma ratunku, ty musisz wpodróżach szukać uléczenia. O, biédna Gabryjelo! Jakżeś okropnie pomszczona!«

Nazajutrz wyjechał Teobald z Paryża.

CISZA MORSKA.

Do piérwszych modnisiów stolicy angielskiéj należał niezaprzecznie młody lord Melton; w r. 1831 był on bożyszczem wszystkich salonów. Byłem z nim w dość ścisłéj zażyłości. W kilka lat potém odwidzam znowu Londyn, lecz już ani wieści nié ma o tym wymuskanym lwie londyńskich buduarów, dowiaduje się tylko, że żyje w Northumberland jakiś bogaty człowiek tego samego nazwiska, ale obraz, który mi o nim skréślono, nie odpowiadał ani jednym rysem temu portretowi, który miałem w pamięci o moim modnisiu lordzie Melton. »Miałżeby się w tak krótkim czasie odmienić? Obaczymy«, pomyśliłem sobie. A że miałem chęć zwidzenia północnych hrabstw Anglii, puszczam się w drogę, przybywam do Northumberland, każę się prowadzić do mieszkania Naboba — tak bowiem nazywali wszyscy imiennika mego przyjaciela lorda Melton — wchodzę do komnaty mającéj budowę rozbitego namiotu, wschodni przepych uderza moje oczy, liczna służba, a na jéj czele młody mężczyzna w ubiorze Indyjanina, przyjmuje mię z wszelkiémi grzecznościami. Zastawiono przedemną owoce i kilka butelek rozmaitego wina. Lecz zaledwie wziąłem do ust podane mi owoce, wchodzi słuszny, młody, lubo już dość otyły mężczyzna, w skromnym ubiorze. Byłto lord Melton, niegdyś dandy angielski. Poznałem go na piérwsze wejrzenie, chociaż nieco ściemniałe lice jego, miało widoczne ślady niejakiéj zmiany. Przywitawszy mię uprzejmie i wezwawszy, abym usiadł, uprzedził moję ciekawość w te zaczynając słowa: »Dziwi to zapewne wpana, że nie znalazłeś we mnie dawnego modnisia, ale cichego, spokojnego wieśniaka. Chcę zaspokoić wpana ciekawość, posłuchaj, rozwinę ci kartę mojego życia.« Tu zaczął opowiadać, co następuje:

»Już sobie byłem sprzykrzył te jednostajne uciechy, te hałaśliwe na zabicie nudów wymyślone rozrywki, gdzie szych ogłady zewnętrznéj pozłaca, a wewnątrz pustka serce zaléga; chciałem swobodniejszém odetchnąć powietrzem, gdy w tém umiéra wuj mój w Indyjach i zostawia mi w puściźnie swój ogromny majątek. Nie czując w sercu po zmarłym żałoby, gdyż wtedy w atmosferze salonowéj wszelkie we mnie przygasło uczucie, z udanym smutkiem opuszczam Londyn i spieszę do Indyjów w nadziei, że w dalekiéj ziemi znajdę roztargnienie, któregom nadaremnie szukał w Londynie.

Po długiéj podróży wysiadam na ląd do Pondichery, ułatwiam interesa spadkobiercze, a zwidziwszy środkowe kraje Indyjów, zapoznawszy się z religiją i pismami Braminów, zamyślam już wracać do ziemi ojczystéj, z tém przeświadczeniem, że mi należy powetować czas tak bezowocnie zmarnowany.

Dnia jednego, przed wykonaniem tego zamiaru, zwiédzam zarosłe bujną trawą okolice; po długiéj wędrówce, upał ziejącego słońca Afryki i gorące pragnienie, zniewala mnie układść się na tym zielonym kobiercu i szukać choć na chwilę ochłody. Wtuliwszy twarz w to posłanie z kwiatów, zasypiam. Wtém okropny ryk budzi mię ze snu, otwiéram oczy, i widzę naprzeciw siebie w niedalekiéj odległości ogromnego tygrysa, który osadziwszy się na tylnych łapach, wlepił we mnie dyszące mordem ślépie, a ścią-

gając i rozprężając przeguby swojéj centkowatéj skóry, groził co chwila, że się na mnie rzuci. Przestrach ogarnął mnie okropny, miałem się już za zgubionego, czułem już ogień ziejącéj paszczy tego dzikiego źwierzęcia. Po chwili odzyskuję przecież przytomność, porywam się z ziemi i chwytam za pistolet i sztylet—broń tę ma każdy Indyjanin przy sobie, skoro się puszcza w drogę — a uzbroiwszy tym sposobem obie ręce, oczekuję srogiego nieprzyjaciela wlepiwszy wzrok przenikliwy w jego pałające ślépie. Gdyby mię kula zawiodła, postanawiam sztyletem walczyć z tym dzikim potworem.

Gdym zajął tę obronną postawę, nie trwało chwilę, a już widzę tygrysa wytężającego się do skoku. W téjże chwili wymierzam pistolet, a kula gruchocze tygrysowi przednią łapę. Myślałem, że już jestem ocalony, gdy wtém z okropnym przestrachem moim postrzegam, że to krwiożércze źwierzę robiąc bokami i wywiesiwszy z paszczy latający język, zbiéra znowu w kupę wszystkie siły swoje do nowego skoku. Polecając duszę moję Bogu, ścisnąłem konwulsyjnie rękojść sztyletu, i oczekiwałem już niechybnéj śmierci, gdy wtém głośny i przeraźliwy wrzask uderza o moje uszy. Na dwieście kroków odemnie postrzegam Indyjanów, którzy na polu ryżowém pracą zajęci byli. Oni to, jak mi późniéj opowiadano, usłyszawszy mój wystrzał, zbieżeli mi na pomoc, nie wiedząc, jakie mi groziło niebezpieczeństwo. Za zbliżeniem się Indyjanów, wylęknion ich głośnémi odgłosy, pognał tygrys w dzikim biegu. Jam został ocalony. Podziękowawszy moim wybawcom, rozdałem pomiędzy nich pieniądze, które miałem przy sobie. Indyjanie uradowani moją hojnością, otoczyli mię do koła, a jeden z nich umiejący trochę po angielsku, zapraszał mię do pobliskiego domu, gdzie miałem znaleźć mego rodaka. Przyjąłem chętnie to wezwanie, ile że czułem się mocno znużonym. W godzinę dość utrudzającego pochodu, stanęliśmy u celu naszéj wycieczki. Sam właściciel, poważny 60-letni starzec z srébrnym włosem na głowie, wyszedł naprzeciw nam, a po wzajemnych przywitaniach oświadczył mi, że był dobrym znajomym mojego wuja. Ta znajomość otworzyła mi wstęp do jego domu; upraszałem go, aby mię swojéj rodzinie przedstawił. Wezwano damy; przybyły matka i córka. Ujrzałem miss Mary Whasley, 18-letnią piękność, jakiéj dotąd jeszcze nigdy nie widziałem, i piérwsze jéj spojrzenie zapaliło we mnie płomień niengaszonéj miłości. We dwa dni późniéj na przechadzce, otworzyłem jéj moję duszę, i dowiedziałem się, że również i w jéj sercu od piérwszego wejrzenia ozwała się dźwięcznie struna miłości. W miesiąc potém byłem najszczęśliwszym małżonkiem. Rodzice mojéj drogiéj połowicy, znajdując całe szczęście życia w widoku swojego dziécięcia, nie chcieli oswoić się z tą myślą: że nam przyjdzie kiedyś rozstawać się i do mojéj wrócić ojczyzny. Ojciec zamieszkały od 35 lat w tamtych stronach, był tak przyzwyczajony do swojéj nowéj siedziby, że chciał nawet za warunek ślubny to położyć, abym się z moją małżonką nigdy nie oddalał. Ja zajęty jedynie mojém szczęściem, odpowiadałem milczeniem na prośby ojca, i w saméj istocie nie czułem chęci powrócić do ojczyzny, gdyż nową ojczyznę znalazłem tam, gdzie ujrzałem moję kochankę. Ale gdy niebo pobłogosławiło związkom naszym obdarzając nas synem, wtedy uczułem obowiązki ojca, wtedy poznałem, że dla mego syna muszę powrócić do Anglii. Moja małżonka podzielała zdanie moje: że tylko Londyn może dać memu synowi odpowiedne świetności imienia wychowanie. »Tam, gdzie ty się udasz«, mówiła moja małżonka z rozczuleniem, okrywając mię pieszczotami, »i ja za tobą pójdę, choćby to było na koniec świata.« Na ośm dni przed wykonaniem mego zamiaru udania się na powrót do Anglii, oświadczyłem rodzicom moje nieodzowne postanowienie. Najserdeczniejsza boleść zakrwawiła ich serce, łzy matki miészały się ze łzami córki, ponura twarz ojca groziła mi zgubą, że chce im wydrzéć jedynę córkę. Ale gdy Mary łzami zalana powtarzała kilkakrotnie, że mnie nie odstąpi, i że dla swego syna chętnie tę bolesną ofiarę poniesie, pogrążył się ojciec w niemém zadumaniu. Przyszła nareszcie chwila odjazdu. Uklęknąwszy przed ojcem, trzymaliśmy na ręku nasze małe dziécię i prosili o błogosławieństwo ojcowskie. Ojciec nam błogosławił, ale na jego twarzy nie było widne uczucie żalu, ale uczucie mściwości i zawziętości, którą mnie zdawał się obarczać. Matka zaś we łzach się rozpływając, tysiące pieszczot dawała swéj córce w upominku; splotłszy swe dłonie w około swego dziécięcia, martwa jak bez życia, zdawała się przysłuchiwać szumiącéj fali, która jéj córkę miała unieść z sobą w dalekie, nieznane strony. Przemocą wziąłem z ramion matki drogą moję Mary; śród łez wszystkich domowników oddalaliśmy się z domu rodzicielskiego. Stroskany ojciec straciwszy nadzieję zatrzymania naszego odjazdu, cisnął na mnie przekleństwo, które lodem krew we mnie ścięło! Jużem się był zachwiał w mojém przedsięwzięciu, zastraszon okropnémi słowy ojca, ale Mary dodała mi odwagi; rzuciliśmy siedzibę rodzicielską! — Okręt wschodniéj kompanii handlowéj przyjął nas na swój

pokład. Było nas sześć osób: ja, moja żona, nasze dziecię, Murzyn do moich, a dwie Indyjanki do usług mojéj małżonki. Piękna zwierciadlana przestrzeń morza rozerwała wkrótce moje smutne myśli, uśmiéch zawitał na moje usta, radością jaśniały moje oczy.

Minąwszy »Przylądek Dobréj Nadziei«, płynęliśmy szparko ku Europie. Podzwrotnikowe wiatry sprzyjały naszéj podróży, raźno przebywaliśmy przestrzeń morską. Naraz ustaje wiatr, żagle obwisły leniwo na żerdziach okrętowych. Z początku żadnéj nie mieliśmy obawy, niebo było czyste, a powierzchnia morza przejrzysta jak zwierciadło. Cała natura zdawała się wypoczywać, tylko plusk igrającéj ryby, łopot morskiego ptaka, lub też rozbryzg jakiéj fali w dal płynącéj, mąciły czasami tę jednostajną ciszę. Tak minęły trzy dni i noce. Wtedy poczęła się trwożyć okrętowa osada, oglądać się w około, wpatrywać się w obumarłe powietrze lub bezwełniste morze, podobne do płynu metalu, kiedy ochłódnie; lub spoziérać w niebo, które upałem słońca ogorzało. Wkrótce pokazała się ognista linija, która jak rozpalona szyna żelaza, wpół widnokrąg przekroiła. Zdawało się, że okręt zarzucił kotwicę przy lądzie, który go otoczył wieczną, nieprzebytą zaporą. Spojrzenia nasze były nieruchome jak morze, jak powietrze, jak natura, która nas trapiła głuchémi dniami i dusznémi nocy. Ta cisza morska trwała przez dni czterdzieści, które się nam zdawały wiecznością! — Ach mój Boże, gdyby wszystkie moje skarby, które miałem na pokładzie, znieruchomiałe fale morskie w ruch były potrącić mogły, jakżebym je chętnie cisnął był w topiel bezdenną! Ale wszystko było nadaremne: nasze usiłowania, nasze modły, i wszelkie ofiary, jakiesmy oddali głębinom morskim dla ulżenia okrętowi! Nawet wiosła, do którycheśmy się w naszéj rozpaczliwéj potrzebie wszyscy razem rzucili, nie popchnęły nas ani o krok daléj; pruły one morze, ale nie mogły mu nadać żadnego ruchu. Z radością powitalibyśmy byli szaloną, rykiem grzmotów groźną a błyskawicami ślepiącą burzę, z upragnieniem oczekiwaliśmy rozdziczałéj walki żywiołów; przepastna głębia morska, któraby nas w paszczy swojéj pochłonąć miała, nie byłaby nam wtedy tak straszną, jak owa głucha jednostajnością przerażająca cisza! Samo niebo było głuche na nasze gorace modły!

Wkrótce niestało żywności, wody słodkiéj brakło całkiem. Mary znosiła to wszystko z prawdziwie bohatérską duszą, z miłych ocząt dziecięcia czerpała odwagę. Pierś jéj, którą dawała niemowlęciu, mimo głodu nie wyschła jeszcze całkiem, wszelako musiała się ukrywać przed wzrokiem wygłodniałych majtków, którzy biednemu dziecięciu każdéj kropli mleka zawiścili. Głód dojmujący coraz srożéj dawał się uczuwać, a okręt jakby przykuty, nie ruszał się z miejsca! Rozpacz osady okrętowéj doszła do najwyższego stopnia; byłato rozpacz niema, ponura, objawiająca się brakiem wszelkiéj nadziei, wyniszczeniem wszelkich sił duszy i ciała! Bez szemrania poddaliśmy się wszyscy niezbłaganym wyrokom losu, śmierć nie mogła znaleźć powolniejszéj i uleglejszéj ofiary. Ja przed wszystkiémi byłem godzien największego politowania: bom cierpiał za moję dziecię i moję żonę, patrząc się, jak te najdroższe mi istoty więdną i nikną w moich oczach! Nieraz jakby przez złudzenie optyczne, roztaczały się przed mojémi oczyma równiny Gangesu, widziałem świeże, zielone pomieszkanie Whasleya, naszego ojca, spotykałem się z jego wzrokiem, którym mi ciskał przekleństwo, a wtedy wszelka nadzieja ustępywała z mojéj duszy... Cisza morska z każdym dniem się przedłużała, niebo jaśniało jak świątynia słońca, my pod złocistém sklepieniem podzwrotnikowém, byliśmy wtedy podobni do skąpca, który na skarbie złota z głodu umiera!

Pewnego rana jakieś tajemne przeczucie orzeźwiało całą moję istotę. Zebrawszy moje zwątlone siły, wyszedłem na pokład, gdzie już zastałem zebraną czeladź okrętową. Wszyscy z wytężoném okiem wskazywali na masztowe bandery, które wiatr lekko nadymać począł; cała osada zgromadzona na pokładzie, wyciągnęła ręce w górę, aby uczuć przewiew powietrza, i jakby z jednéj piersi odezwały się okrzyki radości! Ustąpiła cisza morska, wiatr zaczął dąć w żagle.

Ci tylko, którzy z cieśni grobowéj wyszli, aby znowu dzienne powitać światło, mogą pojąć to uczucie, jakiém byliśmy wtedy przejęci, gdy powiew wiatru muskał nasze twarze! W nadmiarze radości mojéj ściskałem żonę i dziecię i zwalczon tém uczuciem pochyliłem się w ramiona mojéj drogiéj Mary! Osada okrętowa, która dotąd w niemej była pogrążona rozpaczy, podniosła schylone czoło, radość wstąpiła w wszystkich serca, każda dłoń wzięła się do wiosła i najsłabszą rękę, nadprzyrodzona przenikała siła, aby korzystać z tak pomyślnéj, cudem prawie użyczonéj pory. Lecz nie długa była nasza radość! Oddaleni od owego miejsca, gdzieśmy wylądować mieli, musieliśmy lub wracać się do wyspy św. Heleny, lub brać się ku téj stronie, jak leży Ascension lub wyspa S. Thomasza. Do najbliższego miejsca wylądowania, trzeba było dni czternaście płynąć. Oprócz tego z każdym dniem wychodziła żywność, a od dziesieciu dni nie pobierano jéj w dostatecznéj ilości. Dniem piérwéj był każden przygotowany umrzéć. Z piersi uciśnionéj gorącém powietrzem, żadna się nie wydobywała skarga, a teraz nikt nie miał odwagi poświęcić życia, które cudem prawie uratowane zostało. Nadzieja życia wskrzesiła siły, z niémi wróciło okrucieństwo, samolubstwo, z niemi powstała mściwość i wściekłość. Okropne groźby dawały się słyszeć. Z bronią w ręku czuwałem nad moją żoną i mojém dziecięciem. Murzyn mój miał pod swoją strażą obie Indyjanki. Nie było już rzeczą wątpliwą, że przeciw mojéj żonie i jéj dwóm służebnym, jakieś krwawe knowano spiski. Kapitan okrętu ludzki i łagodny, przejrzawszy zamysł okrętowéj czeladzi, aby zapobiédz zbrodni, zwołał całą osadę na pokład okrętu. Nie wdając się w długie wywody, oświadczył: że w okropném znajdujemy się położeniu, i że jest rzeczą słuszną, aby dla ocalenia większéj części, kilku poświęcić. Głuche wrzaski podobne rykowi dzikich zwierząt, były całą odpowiedzią. Kapitan rozporządził, aby każden wyciągnął numer z urny; numer ten wraz z imieniem osoby, która go wyciągnęła, zaciągał kapitan do rejestru, który tylko jemu samemu był dostępny. Podług liczby kolejnéj miały iść ofiary. Obowiązek kata przypadł losem na sternika, Afrykanina. Sam kapitan przysiągł: że, jeźli los nań padnie, sam sobie kulą z pistoletu życie odbierze lub poda szyję pod topór. Dla zapobieżenia wszelkiemu oszukaństwu, miano po każdém spełnioném morderstwie wywiesić na głównym maszcie nazwisko i numer nieszczęśliwéj ofiary. Tym celem obliczono wszystkich głowa na głowę, nawet mego dziecięcia przy piersi matki, z pod tego prawa nie wyjęto! Ustanowiono także, że skoro jedna ofiara spożytą zostanie, najbliższa z porządku życie oddać musi a to niespodzianie, bez wszelkiego przygotowania! Tejże już nocy o godzinie piérwszéj, obiło się o moje uszy tuż obok mojéj kajuty chyrczenie przytłumione; byłto skon biednego Murzyna, który wyciągnął numer piérwszy! W nieustannéj piekielnéj trwodze między życiem a śmiercią pędziłem dni i noce!

Mordowano w ciemności; dreszcz mię przejmuje, gdy wspomnę na te dni okropne, pełne zgrozy! W każdéj chwili widziałem nóż morderczy przy piersiach najdroższych mi istot, mojéj żony i mego dziécięcia, nie mając żadnej nadziei ratunku nad tę, że moją własną śmiercią ich życie o jeden tylko dzień przedłużyć mogę! Dwanaście dni minęło śród tych katuszy, a każdy dzień był zbryzgany krwią jednej ofiary! Przez trzy dni odrzucała moja żona ze wstrętem i obrzydzeniem tę krwawą żertwę ludzką, ale gdy jéj wskazałem na dziécię leżące u jéj piersi, blade i wynędzniałe—jadła ciało ludzkie, aby dziécię przy życiu zachować! Myślałem z początku, że ją to krwawe, to szkaradne jadło zabije, lecz głód zwyciężył. Brzydziłem się samym sobą, unikałem widoku żony i dziecięcia, a jednak umrzéć nie miałem ochoty.

Gdy dnia trzynastego zrana kapitan wskazał tajemnie katowi kolejną ofiarę, leżałem na pokładzie okrętu na pół martwy i myślą byłem w mojej ojczyźnie! Aż oto nagle odzywa się z kosza masztowego głos radośny: »Okręt! okręt ku nam płynie!« Zerwaliśmy się wszyscy, i w saméj istocie dojrzeliśmy na dalekim widnokręgu punkt biały, podobny do skrzydeł wrony morskiej. W tę stronę skierowaliśmy skwapliwie nasze znaki pomocy wzywające, a w kilku godzinach już było można bryg rozpoznać. Kapitan zaczął mówić przez tubę, na co mu w naszym języku odpowiadano. Nie długo trwało a jużeśmy byli uratowani!

Gdy piérwszy wybuch radości przeminął, chcieliśmy przez ciekawość wiedzieć: ktoby dnia tego był padł ofiarą okropnej śmierci! Byłato moja małżonka Mary. Wyciągnęła numer 13!.....«

W tejże właśnie chwili, gdy to opowiadał, kobiéta rzadkiej piękności, prowadząc milutkiego chłopca za rękę, weszła do salonu, Melton umilkł i przedstawił mię — swojej małżonce. Teraz dopiéro poznałem tę straszliwą zgrozę, ktorę uczuwał, gdy mu przychodziło pod nóż morderczy oddawać dwie, tak drogie sercu jego istoty!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 46. i obejmuje: 1) O urządzeniu i zarządzie dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie skréślony przez Kazimiérza Józefa Turowskiego. (Dokończenie). 2) O rylniku czyli pługu poruszającym spodnią warstwę ziemi. 3) Młockarnia, znajdująca się w skarbowych dobrach Einsiedel pod Tubingen. Opisana przez Renca, dzierżawcę tamtejszego.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 24. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Modniarka małego miasteczka 2) Wyjątek z dramatu: *Stefan Dobrzecki*, przez Fr. Wiesiołowskiego. (Dokończenie). 3) Piérścień, wiersz z Szyllera, przez A. Gorczyńskiego. 4) Uwiadomienia.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* zawiéra na miesiąc listopad następujące artykuły: 1) Wspomnienia gospodarskie z pięćdziesięcio-dniowej podróży po kraju tutejszym odbytéj w roku 1842, przez Maxymilijana Chełmińskiego. 2) Uwaga Trębickiego nad dziełem: *Starożytny teatr w Polszcze*, przez Wojcickiego. 3) Kilka uwag, jak Polacy aż do XVI. wieku zapatrywali się na sztukę pisania dziejów, przez Maciejowskiego. 4) Akt I. pięcio-aktowego dramatu, pod tytułem: *Ludgarda*, przez Adama Gorczyńskiego. 5) Położenie jeograficzne Warszawy, przez Baranowskiego. 6) Kronika literacka, w któréj jest pochwalny rozbiór: Rozprawy o języku polskim J. N. Deszkiewicza, skréślony przez znanego chlubnie badacza mowy Jezierskiego. — Dzieło to, owoc mozolnej pracy i namiętnego zamiłowania w mowie ojczystéj, zasługuje ze wszech miar na uwagę miłośników naszego języka. — Po kronice literackiéj następują Rozmaitości. —— Tamże wyszła z drukarni Ungra: *Galwanoplastyka, czyli sposób na wzór danych oryginałów robić miedziane kopije z miedzianych roztworów za pomocą galwanizmu, tudzież o pozłacaniu i posrebrzaniu galwanicznem*, przez C. Tołwińskiego. — Tamże *Jaskułka*. pamiętnik złożony z samych oryginalnych utworow teraźniejszych pisarzy, a zebrany przez R. Zmorskiego i B. Dziekońskiego, wyszedł z druku. — Tamże wkrótce wyjdzie na widok publiczny powieść humorystyczna barona Brambeusa Senkowskiego, pod tytułem: *Uprzedzenie*, w przekładzie polskim Marcina Szymanowskiego.

Domy dla ciemnych w Wiedniu. W tém mieście są dwa zakłady dla ciemnych: Dom edukacyjny. Tu przyjmują ciemnych chłopców i ciemne dziewczęta w wieku między siódmym a dwunastym rokiem, dają im utrzymanie z funduszów na ten cel przeznaczonych, tu pobiérają oni nauki, ich pojęciu dostępne, tu się obznajamiają gruntownie z pierwszemi początkami muzyki, a po szesciu lub ośmiu latach wychodzą z tego zakładu. Ręka dobroczynności nie chciała tych nieszczęśliwych wypuścić z pod swojej opieki, dla tego wzniesiono drugi zakład dla dorosłych ciemnych, zakład, któryby nazwać można domem pracy. Tu nastręczają im ciągłe zajęcie pracą, odpowiednie ich zdolnościom, tu starają się także o swobodniejszą dla nich rozrywkę udzielając im dokładniejszéj nauki śpiewu. Według sprawozdania na rok 1842 w zakładzie dla dorosłych ciemnych było 27. ciemnych, męzkiéj, a 21 żeńskiéj płci. Roboty z ich rąk pochodzące co do trwałości i wytworności przechodzą wszelkie pojęcie. Zakład ten utrzymuje się już z pracy rąk dorosłych ciemnych, już przez roczne datki członków towarzystwa, które się zajmuje ich wspiéraniem; do funduszów tych wpływają oprócz tego dobroczynne dary, zapisy i inne. Oby piękny ten wzór, który nam nastręcza Wiedeń, i w naszem mieście znalazł gorliwych naśladowców!

Wynalazek malarza krajobrazów pana Roulllet, jest tego rodzaju: że nim bez znajomości rysunku, bez wszelkich środków chemicznych lub mechanicznych, bez wszelkiego kosztownego lub niewygodnego przyboru, w kilku minutach można zdjąć dokładny odwzór z każdego przedmiotu, jużto w wielkości naturalnéj, już na zmniejszoną lub powiększoną skalę, już też w perspektywie (dalekowidni). Przy nieznajomości rysunku, rzecz naturalna, że piękność obrazu ginie. To wszystko zdaje się do prawdy nie podobném. Jednakże rząd francuzki kupił tajemnicę tego wynalazku, wyznaczywszy panu Rouillet znaczną dożywotnią pensyję.

Chóry żołnierskie. Dnia 16go października odbyła się w sukiennicy paryzkiéj szczególniejsza muzyczna uroczystość. Marszałek Soult pozwolił, aby w pułkach udzielano nauki śpiewu podług metody Wilhelma. Od czterech już miesięcy udziela téjże nauki inspektor szkoły śpiewu tysiącom żołnierzy, wybranym z ośmiu pułków piechoty, stojących załogą w Paryżu. Niedawno popisywali się publicznie po raz piérwszy z tych uczniów ci, którzy w śpiewie największe zrobili dotąd postępy; liczba ich dochodzi do 380. Po

kilku praktycznych i teoretycznych ćwiczeniach, świadczących o gruntownéj wiadomości piérwszych zasad muzyki, wykonali oni cztéry chóry z zadziwiającą dokładnością i tém szczególniejszém wrażeniem, jakie tylko 380 silnych i pełnych głosów razem sprawić mogły.

Olbrzymi papiér. W Londynie pokazują arkusz papiéru na przeszło cztéry stóp szérokości, sześćset łokci długości, ważący 137 funtów.

Przemysłowość francuzka. W Paryżu i Rouen odkryto do tysiąca beczek win białych i czerwonych, które miały uchodzić za wino Bordeaux, a które niczém innéni nie były, jak moszczem z gruszek zaprawionym wódką francuzką i różnémi chemicznemi substancyjami, które służą już do klarowania już do farbowania płynu. Te fałszowane wina Bordeaux miały największy odbyt za granicą i w portach niemieckich na morzu baltyckiém. W zeszłym miesiącu przy rogatkach Bercy w Paryżu odbito z 700 beczek takiém winem napełnionych czopy i szpunty, a zgromadzone tłumy ludu patrzyły z radością, jak fałszowany Bordeaux lał się strumieniami w Sekwanę. Tym razem tylko ryby potruto. To dało powód do odkrycia różnych fabrykacyj przemysłowców paryzkich na innych artykułach żywności. I tak robią oliwę z sadła wieprzowego, pieką placki mieszane z siarczykiem miedzi, aby im większéj nadać białości, ze zbożem mieszają piasek, otręby z opiłkami, herbatę chińską farbują farbą uzyskaną z chromu i ołowiu, do soli robią przymieszkę z namułu morskiego i jodu, śmietankę fabrykują z mąki i blejweisu, papier wyrabiają z gipsu; przemysłowe pracownie paryzkie dostarczają sukien, które na drugi dzień przy szwach płowieją, wyrabiają kamizelki, które się jak pruchno kruszą. Jednėm słowem oszukaństwo w Paryżu stoi w zenicie i trzeba całéj przytomności umysłu, aby w jednym dniu przynajmniej 24 razy nie być oszukanym.

Ludność europejska. Znany statystyk Moreau de Jonnes, miał na posiedzeniu paryzkiéj akademii umiejętności dnia 2go z. m. prelekcyję o ludności Europy, z której wynika, że ta część świata licząca w r. 1788 tylko 144 milijonów dusz, do r. 1838 powiększyła się co do ludności o 75 odsetek, i że w tymże roku liczyła 253 milijonów dusz. Populacyja wzrosła najbardziej w Anglii, Irlandyi, w Prussiech i Austryi. We Francyi nie szło pomnożenie ludności równym krokiem z innemi krajami. Pokazuje się, że Francyja dopiéro w stu latach pomnaża się w dwójnasób. Tenże uczony mówiąc o cenach żywności za dawnych czasów wykazał, że mięso wołowe za Dyjoklecyjana miała pięć razy większą cenę, niż za naszych czasów, funt bowiem tego mięsa kosztował wtedy półtrzecia franka (około 58 kr. m. k.)

Musard, były muzyk karnawałowy, któregoby nazwać można paryzkim Strausem lub Lannerem kadryli, który przez swoje piekielne galopady i *Cancans* prawie europejskie zyskał imię, oddalił się teraz z widowni tańców do przepysznéj z parkiem willi przy Neuilly, gdzie swoje 80,000 franków rocznego dochodu spokojnie i wygodnie spożywa. Wychyla się tylko wyjątkowo z swego ustronia w czasie karnawału, aby objąć dyrekcyję muzyki na dwunastu balach maskowych opery wielkiéj. Imię jego jest wtedy to *sine qua non* na kartach afiszowych, za co bez wszelkiego mozołu pobiéra 15,000 franków! Nie lepiéjże teraz być Musardem niż Beethovenem lub Mozartem!

Francuzkie wybrzeża. W 46 wieżach nadmorskich goreją w nocy ognie na francuzkich wybrzeżach. Oprócz tego w portach francuzkich i przy ujściu rzek, można naliczyć 93 ognisk regularnie utrzymanych, jako to 55 przy kanale la Manche, 23 nad cichym Oceanem a 15 nad morzem Śródziemnem.

Nowy kościół katolicki na wyspie Hong-kong. Na téj wyspie należącéj jeszcze przed dwoma laty do państwa chińskiego, wznosi się teraz pośród domów europejskich w równéj linii zabudowanych, duży kościół katolicki, piérwszy, który od czasów wielkiego prześladowania Chrześcijan w roku 806 w państwie niebieskiém został pobudowany. Ośmiu Jezuitów pełni obowiązki duchownych pastérzy, są między niémi Włosi, Francuzi, Irlandczycy, Hiszpanie i Chińczycy. Tylko gorliwości misyjonarzy katolickich w Europie należy zawdzięczać, że do budowy tego domu bożego w tak krótkim czasie dostateczne zebrano fundusze. Jednakże dziwić się należy, że wyznawcy kościoła anglikańskiego nie mają na téj berłu angielskiemu podległéj wyspie żadnego zboru, oprócz drewnianéj chaty, okrytéj matami.

Nadzwyczajna urodzajność ziemi. W dowód nadzwyczajnéj płodności ziemi angielskiej przytacza londyński *Globe*, że jedno ziarno pszenicy na niegnojném polu p. Hooper pół mili od Ledbury, wydało téj wiosny bez wszelkiéj sztucznéj pomocy 66 kłosów, z których zebrano ziarn 2035.

Więzienie dłużników w Anglii. W więzieniu dłużników Queens-Bech w Londynie, umarł niedawno po jedénasto-letniém uwięzieniu zasłużony Meschek Rowley w 44tym roku życia na zupełną niemoc. W Anglii nie są wierzyciele tak jak we Francyi obowiązani, dawać dłużnikom swoim utrzymanie w więzieniu, ubożsi żyją więc tam kosztem majętniejszych. Rowley zaś był za dumny, żywić się jałmużną i umarł z głodu. Mąż ten, który tysiącom braci swoich życie uratował, który swoim nader sztucznym wynalazkiem, zapalaniu się gazu w kopalniach węgli tamę położył, mąż ten ozdobiony za te dobrodziejstwa dla całego człowieczeństwa dwoma złotemi medalami, łożąc wiele na umiejętne poszukiwania w swoim zawodzie, zapadł nieszczęśliwie w długi. Wieleż mu dawano w nagrodę za te zasługi około całéj ludzkości? Oto pół penny (półtora krajcara) na dni cztéry.

Dzieło dla smakoszów. Wyszło teraz w Paryżu pod tytułem: *Les Classiques de la table*, zawierające zbiór wszystkich pism o jedzeniu i piciu, oparte na powadze księcia Talleyranda, Cesarza Aleksandra, króla Jerzego IV., pani Rotschild, pani Bagration i Recamier, i na powadze lekarzy Corvisart, Gastaldi, Dumoulin i t. d. Dzieło to mające 550 stronic, bardzo pięknie wydane, jest ozdobione 9 portretami znakomitych artystów w jedzeniu.

Scribe, ten sławny pisarz komedyi, był niedawno wezwany za świadka przy obrzędzie ślubnym. Po skończonej ceremonii, zapytał burmistrza tegoż okręgu gdzie ślub brano: czyli tu niema zwyczaju, aby pan burmistrz piérwszy zaraz po ślubie pannę młodę pocałował? »O nasz Scribe jest niewyczerpany w pomysłach swoich«, rzekł burmistrz uradowany, i wycisnął ze smakiem całus na wstydliwém licu panny młodéj. Tym przypadkiem tak się rozkomosił pan burmistrz, że w drugim okręgu Paryża, gdzie się to wydarzyło, chce ten piękny zwyczaj nazawsze zaprowadzić.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.